Nr. 23. Lwów, 1. grudnia 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Szczepański Wojciech.
2. Rotter Ernest.
3. Haempner Maryan.
4. Skopiński Antoni.
5. Hillbricht Alfred.
6. Łoziński Apollon.
7. Łupkowski Julian.
8. Minasiewicz Antoni.

Pies legawy „Gryfon",

jego zalety, wady i kilka słów o tresurze

wedle metody Oswalda.

Od niejakiego czasu pojawiają się u nas coraz to częściej psy t. z. „Gryfony" (Stichelhaariger Vorstehund oder Griffon).

Rasa ta psów sprowadzaną bywa dotąd przeważnie z Niemiec, gdzie zwłaszcza w zachodniej części tego kraju nadzwyczaj jest rozpowszechnioną. Do niedawna „Gryfon" był u nas jeszcze rzadkością, dziś spotkać się z nim można już częściej.

Ponieważ miałem sposobność zapoznać się nieco bliżej z tymi psami, radbym więc to, co o nich wiem, umieścić w „*Łowcu*", i tak nasamprzód krótki opis tego psa.*)

Głowa: duża i długa, pokryta włosem szorstkim. Około pyska włosy te przybierają kształty wąsów i brody, nad oczyma zaś tworzą brwi gęste i krzaczyste, co u tych psów szczególnie jest charakterystyczne, tak iż mimowoli przypominają one jakby pudle. Czoło niezbyt

*) Doskonały portret Gryfonów znaleść można w książkach: „Wild und Hund", Dąbrowskiego i Oswalda „Der Vorstehund und seine Dressur".

szerokie, pysk długi, więcej graniasty, grzbiet nosa lekko wypukły.

Uszy: średnie, przylegające, niezbyt nisko osadzone, pokryte włosem gładkim, krótkim, przetkane tu i ówdzie z pojedyncza nieco dłuższym.

Oczy: duże, nie zasłonięte brwiami, żółtego lub brunatnego koloru, o nadzwyczaj inteligentnym wyrazie.

Nos: tylko brunatny, dość szeroki.

Szyja: średnio długa.

Pierś: głęboka.

Wysokość: 55 do 60 cm.

Grzbiet: długi, lekko wypukły.

Łapy: przednie proste i silne, tylne nieco szablaste, mocno zbudowane, szorstkim włosem pokryte i zaopatrzone silnymi pazurami przy stopach.

Ogon: prosty, czasem nieco ku górze wygięty, bez wiechy. Skraca się on zazwyczaj u szczeniąt o $^1/_3$ do $^1/_4$ całej długości.

Ubarwienie: stalowe z brunatnemi plamami lub też całkiem brunatne. Tło najczęściej siwym włosem przetkane, niekiedy białawo-siwe lub brązowe z żółtemi plamami na głowie, grzbiecie, i po bokach.

Włos: zewnętrzny dłuższy, w dotknięciu jakby delikatny drucik i szorstki, przy samem ciele zaś włos długi, miękki jak puszek i wełnisty.

Gryfony czystej rasy *) zazwyczaj są barwy brunatno białej lub siwo brunatnej, z pojedynczemi, ciemnobrunatnemi plamami, i mają brwi duże, silnie krzaczyste.

Już sama budowa tego psa, krępa i silna, jego pysk gruby i szeroki, o silnych szczękach i uzębieniu, wskazuje nam, że mamy przed sobą aporteura par excellence, i ktokolwiek tylko miał sposobność, poznać go bliżej, ten łatwo się przekonał, że ta rasa psów odznacza się przedewszystkiem niezwykłą inteligencyą i roztropnością, a wszechstronność jego, z jaką daje się wyuczyć i użyć do różnych sposobów polowań jest wprost imponująca. Niemcy też, znani ze swej pedanteryi w wychowaniu i tresurze psów wogóle, zwróciwszy już dawno uwagę swą na tę rasę, która przedtem używaną być miała w Polsce, a następnie dostała się do Francyi, a stamtąd do Niemiec, (stąd też pochodzi i ich nazwa Polnischer Wasserhund oder Griffon) i poznawszy ich wielkie zalety w myśliwstwie, zrobili z nich t. z. „Gebrauchshunde“ tj. używają ich dotąd z bardzo dobrym skutkiem, nietylko do polowań w najrozmaitszych kierunkach, ale nawet i do ochrony lasu, domu, tępienia różnego rodzaju drapieżników i t. p.

Jeżeli więc prawdą jest, że pies ten już dawno znany był w Polsce i stamtąd właściwie pochodzi, co zresztą Oswald w swem dziele o tresurze z r. 1882 sam wspomina, to doprawdy dziwić się należy, że rasa ta przy znakomitych przymiotach, jakie z natury posiada, tak mało dotąd rozpowszechniła się u nas. Nieliczne bowiem okazy, które tutaj widzimy, po największej części sprowadzone zostały z Niemiec i to za drogie pieniądze. Na pozór wygląda to jakby ironia, i mimowoli przychodzi nam na myśl pewne przysłowie, które mówi, że: Anglik i Francuz wyszuka albo wynajdzie, Niemiec wydoskonali, a Polak kupi. Faktem jest, że „Gryfon“ przed kilkunastu laty w Galicyi był tak, jakby wcale nie znany. Pierwszy okaz, z którym się w życiu spotkałem, sprowadzony został do Galicyi w roku 1883, przez byłego dyrektora lasów w dobrach JE. R. hr. Potockiego, śp. Gebauera, jeżeli się nie mylę, z okolic Meklemburga — i kosztował jako maleńkie szczenię, nadesłane stamtąd pocztą, około 200 marek. Nazywał się Moustache III., którego przodkowie, jak rodowód załączony opiewał, odznaczeni zostali przy t. z. „Preissuchen“ pierwszą nagrodą. Widząc to małe stworzenie w klateczce, sądziłem w pierwszej chwili, że to jakaś małpeczka i dopiero lepiej się przypatrzywszy, poznałem w niem potomka psiego rodu.

Przymioty gryfona leżą głównie w tem, że można go używać, jak już wspomniałem z bardzo dobrym skutkiem, prawie do wszystkich rodzajów polowań, a mianowicie: tak na błotach, wodach, jakoteż w polu i zaroślach, na wszelkiego rodzaju zwierzynę, a nawet i na dziki i to w każdej porze roku, czy latem, czy też w zimie. Gryfon bowiem, dzięki swej silnej budowie ciała i swemu uwłosieniu jest nadzwyczaj wytrzymały na zimno i znosi bez szkody wszelkie zmiany powietrza; przymiot w naszym klimacie bardzo ważny. Co zaś do aportowania ubitego zwierza i zapalczywości, z jaką zwykł dusić i tępić różnego rodzaju drapieżniki, jako to: lisy, koty, kuny, etc., jest on psem niezrównanym, nie mówiąc już o innych rzeczach nadzwyczajnych, do jakich używają go często w Niemczech n. p. do wyśledzenia i przytrzymania defraudantów lasowych i kłusowników, do polowania z nagonką w kołach i kotłach, celem aportowania postrzałków, do wytropienia i naszczekiwania postrzelonych jeleni i rogaczy i t. p. Wszystkiego tego można go łatwo wyuczyć.

Ale jak każda rzecz, tak też i gryfon ma swoje wady, a to nie ma on z natury bardzo ostrego i delikatnego wiatru, z powodu czego nie wystawia też i zwierza z taką precyzyą, i na takie oddalenie, jak to zwykle się zdarza u psów rasy angielskiej n. p. u pointerów, a szukając wolniej, zajmuje tem samem stosunkowo mniej pola, okoliczności które szczególniej przy polowaniu na błotach, niekorzystnie oddziaływują.

Przeciętne oddalenie, w jakiem psy te, n. p. kszyka markują i wystawiają, o ile zauważyłem, wynosi zazwyczaj 10 do 15 — przy sprzyjających warunkach 20 do 30 kroków. Nos taki u gryfona uchodzi wówczas za bardzo dobry — podczas gdy u psów rasy angielskiej, jak wiadomo dość często się zdarza, że wietrzą już kszyka na 100, 200, a nawet i więcej kroków. Anglik stoi przytem twardo i tak elegancko, że się aż zachwycamy.

Oprócz tego gryfon razi niejednego myśliwca, swą na pozór nieestetyczną powierzchownością, lecz niekorzystne to wrażenie zaciera się, gdy poznamy inteligencyę i łagodne wobec ludzi usposobienia psa tego.

Jego szorstki, gęsty, naokoło pyska i głowy kosmaty włos, utrudniający czyszczenie, sprawia również szczególniej w porze dżdystej pewien niemiły wyziew.

Z powodów zatem powyższych, pies ten będzie dla takich myśliwych, którzy z szczególniejszem zamiłowaniem polują na błotach, i mają ku temu do dy-

---

*) Psy „Gryfony“ czystej rasy posiadają: Pp. Al. Weissman Zawidowski w Starzyskach (sukę), Feliks Sozański w Kornalowicach, Dr. W. Sołowij, Zdżarski w Sołowej. Z tych pierwsze dwa miałem u siebie w tresurze.

spozycyi rozległe i w ptactwo bogate terytorya — dalej, dla tych wszystkich amatorów, dla których pies, oprócz przyjemności na polowaniach, ma być oraz i nieodstępnym towarzyszem w domu i salonie — dla tych wszystkich mówię, będzie gryfon psem mniej sympatycznym, niźli n. p. gładki, elegancki i zawsze czysty pointer lub setter o jedwabistym połysku.

Natomiast, dla myśliwych z zawodu i fachu, jak n. p. leśników, dalej właścicieli dóbr i dzierżawców większego polowania, oddających się z zamiłowaniem myśliwstwu na różnorodnego zwierza w każdej porze roku, gryfon jako pies wszechstronnie użyteczny, nadawać się będzie jak najlepiej i zasługuje przed wszelkimi innymi psami na pierwszeństwo.

Rzecz naturalna, że ta jego użyteczność nabierze dopiero wówczas znaczenia i stanie się dla myśliwego prawdziwą przyjemnością, jeżeli pies ten otrzyma przedtem racyonalną i odpowiednią tresurę.

Jeżeli tresura wogóle u wyżłów jest rzeczą potrzebną, to z drugiej strony dobra, umiejętna i konsekwentnie przeprowadzona tresura u gryfonów jest rzeczą niezbędną, bo cała prawie wartość tych psów głównie na dobrej ich tresurze polega. Można bowiem i to niekiedy dość znośnie polować n. p. na błotach na kszyki i dubelty z psem rasy angielskiej, nie posiadającym żadnej nawet tresury, n. p. jeżeli pies obdarzony jest znakomitym węchem, nigdy jednak z takim samym skutkiem, przy surowym i nie tresowanym gryfonie. Potęgę anglika stanowi nos i ta zdumiewająca wytrzymałość przy wystawianiu, która pozwala zbliżyć się myśliwemu do zwierza na strzał, nawet z bardzo znacznego oddalenia, podczas gdy gryfon, imponuje nam więcej swoim intelektem.

Gryfon surowy staje przed zwierzem mniej twardo, więcej z bliska, a poruszając nieustannie swym brodatym pyskiem, robi minę, jak gdyby chciał zwierza zaraz uchwycić i skoro ten z miejsca się ruszy, pędzi tuż za nim. Tylko żelazna i dobra tresura, może ułagodzić i poskromić tę, łapczywą i chciwą w zapędach naturę i zrobić z psa nie tylko znakomitego aportera, ale i wszechstronnie użytecznego do polowania.

Aczkolwiek zatem gryfon na błotach rzadko kiedy dorówna dobremu psu rasy angielskiej, to za to we wszystkich innych polowaniach, może z nim śmiało stanąć w zawody, przewyższa go natomiast w każdym razie, przy buszówce w zaroślach na słonki, na wodach i oczeretach na kaczki, nie mówiąc już o aportowaniu, wytropieniu i naszczekiwaniu takich postrzałków, jak n. p. jeleń, dzik, sarna, lis i wiele innych drapieżników, w których to wypadkach spisuje się zazwyczaj po mistrzowsku.

Tresura zatem gryfona, aby módz ją należycie zastosować w praktyce, wymaga oprócz wielkiego doświadczenia myśliwskiego, cierpliwości i daru wrodzonego, jeszcze:

a) częstej, prawie nieustannej sposobności polowania na różnorakiego zwierza;

b) dużo czasu wolnego;

c) odpowiednich i obszernych ubikacyi, w których łatwo i wygodnie dałyby się wykonać wszelkie, w zakres tresury wchodzące ćwiczenia wstępne.

Są to więc, jak widzimy rzeczy, które nie każdemu są dane, dlatego też tresura u tych psów przedstawia się nieco inaczej i znacznie trudniej, aniżeli n. p. u psów innej rasy.

Jeżeli rozglądniemy się nieco lepiej, znajdziemy wprawdzie u wielu myśliwych psy bardzo ładne i rasowe, które z natury posiadają wszelkie warunki, rzadko jednak zdarza się widzieć psa dobrze sprawującego się w polu, a przyczyną tego jest brak odpowiedniej u nich tresury.

Za mało też stosunkowo u nas takich ludzi, którzyby chcieli lub mogli tresurą się zająć. Co innego w Niemczech. Tam prawie każdy leśnik, strzelec, lub myśliwy posiadający psa, jest równocześnie specyalistą w jego tresurze, a wielu młodym ludziom z fachu przynosi ona nawet ładny dochód.

U nas w ogóle za mało przykłada się wagi do tresury psów. Niejeden właściciel, oddający psa komuś do tresury, niedość zwykł oceniać pracę i koszta, jakie z tem są zwykle połączone, wynagrodzenie przeto wypada albo za nisko, albo tresura nie opłaca się wcale. Z drugiej strony, ci znowu, którzyby mogli zająć się tresurą sami dla siebie, zazwyczaj tak są obciążeni pracą inną, że im na to nie stać cierpliwości ani też czasu.

Brak również podręcznika lub dziełka traktującego wyczerpująco o tresurze w języku polskim, jest niemniej przyczyną, że tak mało spotykamy u nas psów zdatnych do polowania.

Napisanie samego podręcznika lub dziełka, w języku polskim, nie byłoby może rzeczą tak bardzo trudną — i z pewnością znaleźliby się u nas tacy, którzyby rzecz tę z pożytkiem dla polskiego łowiectwa wykonać potrafili; chodzi tylko o to, czy dziełko podobne, wymagające przecież większego nakładu i kosztów, znalazłoby w kraju dostateczną ilość nabywców. W ostatecznym wypadku możnaby wydawnictwo jego rozszerzyć i na Królestwo, potrzeba tylko, aby inicyatywa w tym kierunku wyszła z Wydziału naszego Towarzystwa.

Zdaje mi się, że najprędzej doszłoby się do tego celu w ten sposób, gdyby Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego, rozpisał nasamprzód konkurs na taką pracę, a tę, któreby osobna w tym celu komisya wybrana uznała za najlepszą, oddał do druku i zajął się jej rozpowszechnieniem.

Gdyby zaś specyalnie polskie dziełko, trafiło mimo to na pewne i niepokonane trudności, natenczas za zezwoleniem autora możnaby ograniczyć się na przetłómaczeniu jednego z najlepszych w tym kierunku dziełek niemieckich.

Ze znanych mi autorów, najznakomitszymi i najbardziej rozpowszechnionymi są: Oswald i Oberländer.

Szczególniej metoda tresury Oswalda (der Vorstehhund und dessen neueste Dressur ohne Schläge), której od szeregu lat używam, nadaje się wybornie dla gryfonów.

Nie mogę się zapuszczać w szczegółowe opisanie tresury, bo to przekroczyłoby znacznie cel i ramę, jakie sobie z góry w niniejszym artykule zakreśliłem, dlatego też ograniczę się ile możności i wspomnę o niej tylko ogólnikowo, przytaczając przytem niektóre uwagi własne.

Oswalda metoda o tresurze polega przedewszystkiem na gruntowniej natury psiej w ogóle znajomości, którą nabyć można tylko na podstawie długoletniego doświadczenia. Wynalazcą jej jest autor, który nietylko

jako znakomity myśliwy, ale też i jako nadzwyczajny amator psów zdobył sobie pewne imię.

Jest to tresura „par force“ jedyna w swoim rodzaju, bez użycia rózgi, harapa, lub jakichkolwiek innych gwałtownych środków, a wyłącznymi środkami, których używa celem uczynienia sobie psa posłusznym i poddania go bezwarunkowo swej woli, są: sznur i korale. Aby zaś psa podczas tresury nakłonić do otworzenia pyska, i przytrzymania rozmaitych przedmiotów w aportowaniu, wystarcza zupełnie słabsze lub silniejsze pociśnięcie i nacieranie palcami psich dziąseł. Pies tego nadzwyczaj nie lubi, wystrzega się ile możności powtórzenia tego środka i staje się wskutek tego łatwo powodującym.

Dalszą wielką zaletą metody Oswalda jest, nadzwyczajna rozmaitość w wyborze ćwiczeń i to umiejętne i trafne stopniowanie, z jakiem tenże od przedmiotu do przedmiotu, od ćwiczenia do ćwiczenia przechodzi.

Tresura ta daje się zastosować do wszystkich psów legawych, bez różnicy i bez względu na to, jakiego one są usposobienia i temperamentu i jeżeli przeprowadzoną zostanie konsekwentnie i ściśle, to nigdy nie zawodzi.

Nim przeznaczymy psa do tresury, musimy się najpierw dokładnie przekonać o jego nosie. Pies czystej rasy, po dobrych rodzicach, ma zwykle wiatr dobry, jednakże jak wszędzie, tak i tutaj zdarzać się mogą wyjątki.

Nos młodego legawca wypróbować można najszybciej i najlepiej, na polu na skowronkach.

Pies, obdarzony dobrym nosem wystawi wnet skowronka na kilka, lub kilkanaście kroków. Jeżeli szuka przytem ochoczo i skwapliwie, z tak zwanym wiatrem górnym, tj. z nosem, dość wysoko nad ziemią, pod wiatr trzymanym, to możemy być przeświadczeni, iż pies nasz z natury jest dobry, a im więcej ugania za spłoszonym ptakiem, tem lepiej; świadczy to bowiem dobrze o jego temperamencie i energii. Przeciwnie zaś, gdy pies szuka powoli i leniwo, z nosem, tuż przy samej ziemi, gdy nie stanie twardo przed ptakiem, którego zwietrzy, lecz nieustannie kroczy naprzód, trzyma się trwożliwie nogi, albo myszkuje, taki pies, choćby nawet był najczystszej rasy, nie obiecuje nic dobrego i nie warto go tresować.

Jeżeli próba przypada w porze, w której trudno w polu spotkać ptaka, np. w późnej jesieni lub zimie, natenczas radzimy sobie w ten sposób, że w ogrodzie, na podwórzu, lub stodole położymy w ukryciu kawałeczek świeżego chleba lub mięsa, zaprowadzimy tam psa i każemy mu szukać. Pies z dobrym nosem, skoro się zbliży do tych przedmiotów, wnet je zwietrzy i zacuknie się chwilkę.

Rozumie się samo przez się, że próba taka mniej będzie dokładną i pewną od poprzedniej, zawsze jednak może i ona dać pewne wskazówki.

Przy wyborze szczeniąt przychowuje się przedewszystkiem takie, które mają wygląd najwięcej podobny do rodziców i są silniej rozwinięte.

Skracanie ogona u gryfonów, (w tym celu, aby przy buszówce w zaroślach nie płoszyły zwierza i nie przeszkadzały sobie w szukaniu ogonem) przedsięwziąć trzeba u szczeniąt w pierwszych dniach, tresurę zaś rozpocząć można, gdy pies ukończył przynajmniej sześć miesięcy, a nie przekroczył jeszcze roku.

Kompletna tresura u gryfonów trwa zwykle 8 do 9 miesięcy, a niekiedy trwać może i rok cały.

Sama tresura, tz. domowa, wymagająca znacznie krótszego czasu (2—3 miesięcy) nie daje jeszcze najmniejszej gwarancyi, że pies w polu będzie dobry.

Oswald rozdziela swą tresurę na pięć kół.

I. Koło obejmuje tz. tresurę domową, czyli tresurę w zamkniętym lokalu, dla której podaje 76 nadzwyczaj trafnie wybranych i ciekawych ćwiczeń.

II. Koło obejmuje tresurę na wolnem miejscu i jest w gruncie rzeczy tylko powtórzeniem i dalszym ciągiem pierwszego koła; obejmuje ono 18 ćwiczeń.

III. Koło zajmuje się już zaprawianiem psa na zwierza łownego w polu. Tresura w tem kole jest najważniejszą dla psa, i decyduje o jego przyszłości; wymaga zatem od tresującego dużo doświadczenia, oględności i pracy. Chodzi tu głównie o to, aby się pies nauczył dobrze szukać, należycie wystawiał, dał się odwołać i gdy ptak, lub zwierz ruszy z miejsca, za nim nie gonił. Nawet w takim razie, gdy padnie zwierz po strzale, nie wolno psu pod żadnym warunkiem ruszyć za nim, dopokąd nie otrzyma nato osobnego rozkazu. Dobry strzał i ubicie zwierzyny stać winno na ostatnim planie, a całą uwagę skierować należy na zachowanie się psa. Z początku nawet lepiej, jeżeli się umyślnie chybi zwierza i w tym celu użyje ślepych nabojów, a strzelić dobrze należy dopiero wtedy, gdy się pies więcej uspokoi.

Młodzi i zapaleni myśliwi błądzą bardzo, jeżeli nie zważają na psa, tylko się gorączkują. Widziałem już nieraz, jak pies chwycił kuropatwę, lub przepiórkę, strzeloną mu w powietrzu, niemal przed samym nosem. Strzał taki sam przez się niebezpieczny, ma oprócz tego i ten fatalny skutek, że w przyszłości skoro tylko ptak zerwie, albo zając z legowiska ruszy, pies do gonienia tak nawyknie, że niepodobna go później od tego odzwyczaić.

Nie powinno się również tuż po strzale wołać do psa „apporte“! lecz zawsze chwilkę zaczekać. Pies po strzale powinien stać, albo siedzieć cicho, bez względu na to, czy zwierz padł lub nie, a dopiero później na zawołanie swego pana aportować.

Niektóre psy mimo wszelkich ostrożności, zachowanych przy tresurze i na polowaniu, gonią za zającem i ptakiem jak waryaty i nie dają się w żaden sposób odwołać. Jedynym środkiem kuracyjnym na taką niesforność jest strzał śrótowy Nr. 14 zadany z tyłu. Jest to jednak środek ostateczny, z którym trzeba być bardzo ostrożnym.

Miałem sukę pointerkę, zresztą bardzo dobrą, która wprawdzie po trzecim takim strzale stała się, jak to mówią „Haasenrein“, ale zato długi czas nie chciała mi wcale odejść od nogi. Widziałem i taki wypadek, że pies postrzelony porzucił swego pana i więcej na polowanie nie wrócił i powtarzał to samo za pierwszym hukiem strzału. Byłem także świadkiem, jak pies poczęstowany Nr. 14 runął na miejscu z dymem.

Aby psa jeszcze za młodu od gonienia za zającem odzwyczaić, podaje Oswald sposób bardzo praktyczny. Otóż, zaleca on trzymać u siebie w domu młodego zajączka, albo szarego królika, którego po niejakim czasie wynosi się na łąkę i przywiązuje do palika tak, aby

w trawie był ukryty. Następnie wyprowadza się psa na linewce, z koralami w to miejsce, i każe mu się szukać zająca, a skoro pies go zwietrzył, warować. Odwołujemy psa przytem zapomocą korali po kilka razy, zmieniamy miejsce, w którem ukrywamy zająca i znowu to samo powtarzamy tak długo, dopóki pies bez linewki, na zawołanie nie wraca. Nareszcie oddalamy się wraz z psem, a chłopak wzięty do pomocy, pakuje zajączka do kosza, niesie do domu i na jego miejsce kładzie zająca wypchanego. Teraz rozpoczyna się na nowo ten sam proceder, co przedtem... w końcu pada ślepy strzał — apporte! i pies zająca przynosi.

Rozumie się, samo przez się, że cała ta manipulacya z zającami musi się odbywać dla psa niepostrzeżenie, inaczej pozna, że to tylko finta i będzie obojętny.

IV. Koło obejmuje tresurę psa w lesie i składa się z 15-tu ćwiczeń.

V. Zaś i ostatnie koło dotyczy polowania z psem na błotach i wodach w ogóle, i obejmuje 8 ćwiczeń.

Od chwili rozpoczęcia tresury, aż do zupełnego jej ukończenia, pies powinien być trzymanym na łańcuchu, albo być zamkniętym w odpowiedniem zagrodzeniu (Zwinger). Lepiej gdy psa ulokujemy w budzie, niżeli w t. z. cwingerze. W tym celu zaleca Oswald urządzenie budy w następujący sposób: Na rogu jakiego budynku (od strony północnej, wschodniej albo zachodniej, nigdy od południowej) wybija się dziurę 30 cm. szeroką, a pół metra wysoką, a od strony wewnętrznej, wymurowuje się ścianę około 90 cm. wysoką. Ściana przeciwległa otworowi winna być tylko 45 cm. wysoką, tak by ponad nią umieścić można drzwiczki drewniane, dobrze przylegające. Ściany boczne, wyższe, zasklepia się w górze. Podłogę w budzie układa się z gładkich płyt kamiennych, dając im pochylenie nieco ku otworowi, tak, żeby woda deszczowa w czasie ulewy łatwo spływać mogła. Dobrze jest otwór budy zaopatrzyć w roletę, albo rodzaj zasłony, którą stosownie do potrzeby, celem ochrony przed wiatrem i muchami — spuszczać można wyżej lub niżej. W lecie zaś wystarcza zwykła buda drewniana.

Najodpowiedniejszym pokarmem dla psów jest dobrze zaparzona osypka owsiana, z małą domieszką mleka i odpadków kuchennych. Dobrze jest także dodawać do jadła od czasu do czasu nóżki baranie, lub kości cielęce i nieco jarzyn, co chronić ma psy młode przed nosacizną.

Karmieniem winien się zająć sam tresujący.

Przy końcu dzieła, umieszcza Oswald bardzo cenne uwagi co do pielęgnacyi psów i wiele innych rzeczy ciekawych. Ostatni rozdział traktuje wyczerpująco o chorobach psich i sposobie ich leczenia.

W Suchodole, dnia 10. listopada 1902.

R. Kesselring.



Moje pierwsze dwa jelenie.

(Ciąg dalszy).

Odwiodłem kurek i złożyłem się. Lecz na cel nie podobna go wziąć, tak z emocyi muszka na strzelbie lata. Wiedząc, co to za hańba chybić jelenia, odkładam strzelbę, klękam, opieram express o pniak stojący przedemną, a ochłonąwszy z emocyi, biorę go na muszkę, jak mogę najdalej od szyi widzialnej i strzelam. Jeleń skoczył i galopem ruszył w stronę przeciwną, jak stał głową, t. j. w dół góry; łomot pięć sekund, potem wszystko ucichło. Popatrzyłem na zegarek, było pół do szóstej. Za pół godziny noc, więc muszę przynajmniej dziś sprawdzić, czy jeleń trafiony. Odrachowałem kroki, było do brzozy, pod którą stał, 150 kroków. Franz pessymista mówił, że chybiony, że szkoda jelenia. Gdyśmy zeszli na dół, w miejscu, gdzie leżał, znalazłem krótki włos ścięty. Powiedziałem, że to dobry znak, Franz zaś twierdził, że on tu leżał i że to może być sierć odarta. Zaczęliśmy szukać dalej — i o szczęście! pięć kroków za strzałem farba, a kilka kroków dalej już jodełki w połowie zafarbowane i na to dopiero Franz się odezwał, że on musi leżeć niedaleko, bo go nie słyszał dalej łamiącego się i że nie poszedł w stronę, w którą stał obrócony, lecz w przeciwną ku dołowi. Powinienem był nie iść za nim, lecz widząc bardzo silną farbę i zmrok zapadający, poszliśmy za nim. Po 20 krokach przestał farbować, tak, że nie było farby. Szukaliśmy z 10 minut, ani znaku, już byłem pewny, że przepadł i już zwątpienie mnie ogarnęło, gdy znowu wróciwszy tam, gdzie ostatnią większą farbę zobaczyłem, całkiem pod kątem prostym, znalazłem dalszą farbę. Zawoławszy Franza, szliśmy powoli ze strzelbą w pogotowiu, a gdy szedłem za śladem, Franz przeglądał okolicę i nie dalej jak 30 kroków, zawołał: „O Weidmannsheil! der Hirsch liegt". Podniosłem oczy, ale nie widziałem nic, tak mnie ze wzruszenia i radości oczy łzami zaszły. Dopiero przetarłszy je, zobaczyłem króla tej góry, leżącego z rogami do góry! Nie leżał od strzału dalej, jak 50 kroków. Przybiegłem do niego, już nie żył, lecz niestety! był to tylko ósmak, co za złudzenie! Lecz przypatrując się bliżej, zauważyłem, że ma dziwnie grube i uperlone rogi. Widziałem dużo rogów ósmaka, lecz tej grubości nigdy, Mówię do Franza, że to jeleń dziwnie wielki w ciele, a tylko ósmak. Franz także był zdziwiony grubością rogów i wielkością jelenia. Oglądnęliśmy kulę, która wyszła na wylot. Jeleń był strzelony trochę przed komorą, gdzie się łopatka z żebrami łączy. Po wypatroszeniu przekonaliśmy się, że kula przeszła przez płuca. Że jeleń był kolos, to dowodzi, że nas dwóch nie było w stanie go obrócić na drugą stronę, ani ruszyć ku górze, by krew ściekła. Rogi miał tak grube, że powyżej róży, jedną ręką objąć ich nie można było, aby się palce razem zeszły. O godzinie $6^1/_2$ opuściliśmy jelenia. Ponieważ grzbietem góry w nocy, trudno było iść, zaproponował mi Franz, aby zejść do potoku, a w nim jest jakaś droga, prowadząca ku kolibie, tylko potem mały kawałek mamy przejść bez drogi ku kolibie.

Po spełnieniu mego marzenia, na wszystko przystałem, byłbym na sam szczyt Jajka poszedł dziś, tak

byłem uszczęśliwiony nietylko jeleniem, ale strzałem znakomitym. Poszliśmy więc dalej po kłodach i gałęziach i jeszcze o zmroku doszliśmy do tej sławnej drogi, lecz o Boże! jeśli to drogą można nazwać. Jest to łożysko strumyka, o drobnych kamieniach, które się z wody wysuwają. Co chwila noga się zsuwa z ostrego kamyka, który w nogę kłuje i wpada się do wody, wprawdzie płytkiej, ale zawsze mokrej. Lecz wszystko jeszcze po zabiciu jelenia można wytrzymać, lecz nie to, co nastąpiło. Gdyśmy opuścili koryto strumyka, tę drogę przez Franza nazwaną, musieliśmy wśród zupełnej czarnej nocy, tak, że ja Franza na trzy kroki przed sobą nie widziałem, iść przez gruby las ciągle poszturkując się o jodły.

Już nie było dalej do koliby, jak kilometr, a od 7-ej szliśmy po omacku do 10-ej. Nareszcie zgubiliśmy tę ścieżkę, która miała nas do koliby zaprowadzić. Na to Franz powiada: opuśćmy ciemny las i idźmy wzrębem obok, bo tam jaśniej będzie. Niby było jaśniej, ale jak znalazł jaśniejsze miejsce, to wpakował mnie i siebie do zuli po kolana. Jest to źródło gliniaste słonej wody, które jelenie odwiedzają i roztratowują. Tego mi było zanadto, ani wyleść naprzód, ani w tył. Pot się ze mnie leje, jak w kąpieli, z dołu zimno, rozpacz mnie ogarnia, czy ja jeszcze gdzie na dno nie pójdę. Nareszcie wydobyłem się w ten sposób, że położywszy się na ziemi, wyciągnąłem jedną nogę po drugiej i na kolanach przelazłem zulę na suchsze miejsce. Tu zaczęliśmy wołać do koliby o pomoc. Niestety, nim usłyszano, dobra godzina upłynęła, potem nim do nas przyszli z latarką druga godzina, myślałem, że zginę, bo omoczony i zegrzany już ustawałem, nawet o jeleniu przestałem myśleć, byle się dostać do suchego ubrania i módz siąść na czemś suchem. Nareszcie dobiliśmy o 11-ej do koliby. Stadnicki spał po kolacyi i dobrze mu było, choć jelenia nie zabił, ale ja zabiłem i byłem nawet tak niesumienny, że w radości go zbudziłem, rzuciwszy mu się na szyję, dziękowałem ze łzami radości, że marzenie myśliwskie spełnione. Zdziwiło go tylko, gdym mu opowiadał, że to tylko ósmak, ale że taki gruby, że grandli nie ma i trzech zębów przednich; to też gdy nazajutrz poszedł w tę stronę, zaszedł do jelenia, którego znalazł po zaciosach, które zrobiliśmy idąc z dołu od jelenia ku szczytowi. Zdziwił się olbrzymowi temu, bo zabiwszy już kilka jeleni, takiego ogromu nie widział. A gdy się wieczór nazajutrz ze mną zobaczył, odrazu mi powiedział, że mi winszuje tego jelenia, bo to jest starzec bez zębów i grandli, o prześlicznych rogach, który mógłby być nie tylko ośmnastakiem, ale i dwudziestakiem. I rzeczywiście jeleń już nie miał grandli, trzy zęby w dolnej szczęce mu brakowały, a czwarty się chwiał. Sierć jelenia była spłowiała i rzadka, był dziwnie chudy, pomimo swej wielkości.

Dziś, kiedy patrzę na te rogi prześliczne, wiszące przedemną, podziwiam je i dlatego je tu dokładnie opisuję. Rogi brunatne, prędzej żółtawe, nie świecące, jak zwykle u jelenia. Stadnicki utrzymuje, że to są rogi kilkuletnie, t. j., że przez parę lat już nie zrzucał ich. Rogi mają metr długości i metr rozpiętości. Odnoga oczna mniejsza niż środkowa (Mittelsprosse), która ma 60 cm. długości. Drugich ocznych odnóg nie ma, tylko znaki, że tam powinny być, t. j. małe wypukłości, więc jest to de facto dziesiątak. Ale co najpiękniejsze w tych rogach, jest to kolosalna gałąź górna najwyższa w koronie, która ma także 60 cm. długości. Rogi wyżej róży mają 17 cm. grubości, koło środkowej odnogi mają 17 cm. grubości a wyżej niej mają 13 cm. grubości. Mam w domu rogi ośmnastaka i czternastaka znalezione, ale są daleko cieńsze, niż ten ósmak. Znawcy podziwiali te rogi, twierdząc, że to był jeleń najmniej 30 lat liczący.

Więc życzenie spełnione, dziś mam tylko marzenie, aby odpocząć i jutro by św. Hubert dał Stadnickiemu takie szczęście, jak mnie. Więc porozumiawszy się ze Stadnickim, gdzie mamy jutro wyruszyć, zasnąłem snem kamiennym przy szalonym wichrze mroźnym, ale tak rozgrzany powodzeniem, że zimna zupełnie nie czułem.

Dnia 19-go września. Niedziela. O bytności w kościele, nie ma co myśleć, bo od niego 4 mile do Wełdzirza, ze 6 godzin drogi lub więcej, więc na krótkie rykowisko idę, potem mam wrócić do koliby, zmówić mszę św., a Franz ma pójść po rogi jelenia zabitego i po skórę, również po mięso jelenia dla ludzi. Stadnicki mi polecił iść na wschodni garb Tarnicy, naprzeciw Girgana, sam zaś znowu, nie zrażony niepowodzeniem wczorajszem, wrócił na mały Lisak szukać swego jelenia, którego widział wczoraj. Ponieważ wschodni grzbiet Tarnicy, cały w górze pokryty jest kosodrzewiną, więc niepodobnem jest przez nią spuścić się ku Girganowi, musimy obchodzić ścieżkę ku wschodowi przez połoninę, zwaną „Wielkie pole“ i po pod Jajko spuścić się ku dolinie rzeki Prawiczy, która dzieli górę Tarnicę od góry Girgana. Poszedłem więc ścieżką, przez którą bydło idzie na połoninę, po ruchliwych kamieniach, po których nadzwyczaj utrudnionem jest chodzenie, bo albo kolą w nogi, lub noga z nich się zesuwa. Nic mnie tak nie dopiekło w górach, jak te ścieżki bydlęce, pełne kamieni ostrych, śliskich i ruchliwych, po których najlepszy gimnastyk cyrkowy, chodzić by nie potrafił. Minąwszy tę ścieżkę idzie się połoniną, po miękiej trawie, dość długo. Połonina ta położona jest pod samem Jajkiem, wystawiona na wiatry mroźne, to też choć zegrzany drogą do góry, ziąbłem ogromnie, bo trawa i ziemia, na kość zmarznięte były rano. Na łące pełno gogodzy, ale można tylko gogodzowe lody jeść, takie zmarznięte. Idę więc raźno, a wyszedłszy pod Jajko, widzę prześliczny widok, bo z tej połoniny widać Ludwikówkę, Wełdzirz i wszystkie góry okoliczne. Już się dzień robi, bo po wczorajszym marszu zaspaliśmy nieco i ledwo o 5-ej wyruszono z koliby, ale ryk jeleni licznych na Girganie i Tarnicy, nie daje mi patrzeć na przecudny widok, roztaczający się dokoła. Na Tarnicy ryczą cztery jelenie, a na Girganie sześć, czy siedm. Idę więc szybko połoniną, wszystkie ryczą w dole, trzeba więc schodzić niżej. Fatalne podchodzenie, bo ta część Tarnicy, to świeżo wyrąbany zrąb bez jodełki nawet, o niezliczonej ilości kłód i gałęzi. Wątpię w rezultat podchodzenia. Doszedłszy pod Jajko, spuszczam się niżej, bo jeleń jeden ryczy niedaleko; u szczytu trawa, poniżej kamienie, więc podchodzenie jeszcze gorsze. Idąc za głosem dochodzę do łączki, rzadkimi świerkami zarosłej i widzę trzy łanie pasące się, o kilkadziesiąt kroków odemnie, wiatr zły z dołu wieje, o obejściu nie ma mowy, bo zejść z Tarnicy przed południem, nie było by czasu, więc podchodzę, jak mogę najciszej. Wtem łania potrąca sama o kamień, płoszy się, zaczyna wietrzyć, rusza pę-

dem ku mnie, za nią druga, trzecia, zobaczyły mnie! beknęły i jak stado koni po gościńcu, zrzucają kamienie, które staczając się po pochyłości, straszliwy hałas czynią. Więc jeleń przestał ryczeć, wyniósł się cichaczem, a całe stado pierzchło w nieładzie. Ale dalej ryczy drugi jeleń i trzeci, schodzimy niżej, tam już mniej kamieni, tylko złomy i złomy. Drugi znowu umilknął, bo ciągle fatalny wiatr mieliśmy. Dopiero trzeci dał mi się podejść na 120 kroków. Niestety fatalność mnie prześladowała, bo jeleń stał na sztych, czekałem aż się zwróci, by strzelić. Lecz Franz, który o 100 kroków za mną pozostał, nie widział, że już złożony stałem, spuszczał się na dół i zstąpił na gałąź. Jeleń jak stał, tak się na miejscu obrócił, że nawet w zwrocie go nie widziałem i zniknął mi w złomach. Skończyło się rykowisko, ale miałem prześliczny widok, bo na tym zrębie, jak oko sięgnąć mogło, tak wszędzie było widać jelenie pasące się. Widziałem tam mnóstwo młodzieży i łań, 3—4, grube jelenie, które nie ryczały, lecz pasły się, naliczyłem 30 sztuk. W jednem stadku pasły się trzy łanie i średni jeleń. Wtem jeleń podniósł głowę i spojrzał ku górze. Popatrzyłem za nim w tę stronę, i widzę, że drugi jeleń daleko czarniejszy, schodzi ku niemu powoli, oba stanęły mierząc się okiem. Wtem czarniejszy zbliża się do żółtego na kilka kroków. Stanął i patrzył, gdy nagle jaśniejszy pędem rzucił się na niego, uderzył go rogami w brzuch, przybysz odskoczył i niegoniony, ślepo poszedł ku dołowi, widocznie nie miał odwagi stanąć do walki. Żałuję, że odległość była znaczna i nie dozwoliła mi się przekonać, czy odpędzony był słabszy jeleń od tego, który pozostał przy łaniach. Po barwie sądzę, że jeleń czarniejszy był starszy od tego, co został przy łaniach. Słońce podniosło się do góry, więc wszystkie jelenie schodziły wolno ku dolinie, przechodziły przez rzekę i szukały cienia na Girganie, który jest w części grubym lasem pokryty, w części zrębem 20-letnim. Tam jednak rykowisko nie ustawało, słyszałem tam ośm ryczących jeleni, z tych dwa bardzo grube po głosie mi wydawały. Lecz dziś zapóźno, więc tą samą drogą bardzo mozolną, wracałem do koliby. Chciałem popołudniu pójść na Girgan, lecz pierwej Franz z ludźmi musiał pójść do jelenia, wczoraj zabitego. Była godzina 10-ta, gdy powróciłem do koliby. Po południu nie mogłem iść dalej, gdyż Franz do 3-ej nie powrócił. Poszedłem więc sam pod Ukernę, górę poza Jajkiem, aby ten czwarty wierch Tarnicy zwiedzić. Niestety tam tylko daleko ryczał jeleń, lecz słabo, nawet nie spróbowałem go podejść, a że bałem się w nocy sam wracać, więc z zapadającym zmierzchem, poszedłem ku kolibie. Zastałem już Stadnickiego w bardzo kwaśnym humorze; przez cały dzień nic nie słyszał, ani widział. Opowiedziałem mu, że na Girganie ryczy ciągle 6—8 jeleni. Postanowił więc się tam wyprawić i to na cały dzień, gdyż wyprawa długa i powrót na górę bardzo męczący. Ja miałem iść doliną między Tarnicą a Girganem, on zaś środkiem po pod gruby las a wzręby.

Dnia 22-go września, o godzinie 2-ej, wyszliśmy z koliby i przed pierwszym brzaskiem byliśmy na łące Mszance, która leży u stóp Girgana. Łączka ta leży na samej granicy Perehińska. Mozolna ta droga w nocy, po stronie kamienistej, drodze wśród korzeni drzew i kłód, zmęczyła nas niepomiernie. Gdyśmy siedli by trochę odpocząć, słyszeliśmy koncert całej orkiestry jeleni, bo nie tylko nasze jelenie świetnie tej nocy ryczały, ale i z za perehińskiej strony kilka jeleni słychać było. Góry się trzęsły, bo kilka jeleni razem słychać było, a każdy starał się przeryczeć drugiego, lecz wczoraj przezemnie wysłuchane, ryczały najgrubiej, na nie więc mieliśmy najwięcej ochoty. Jeden ryczał na dole, więc miałem iść na niego, jak tylko się dzień zrobi. Przy pierwszym świcie rozeszliśmy się, Stadnicki granicą ku górze, ja zaś dołem ponad Prawicz. Ledwie dzień się zrobił, już byłem pośród czterech jeleni, ryczących ciągle, tak że nie wiedziałem, którego podchodzić. Jeden ryczał w grubym lesie, na tego zdecydowałem się pójść. Tak długo ryczał dobrze, póki nie przyszedłem do niego, potem tylko dorywczo. Wtenczas postępowałem płajem po miękim mchu; podchodzenie doskonałe. Już go widzę, lecz ciągle mi stoi na sztych, strzelać lekkomyślnie do sztychu nie chcę, czekam aż się odwróci, lecz on znowu wykręcił się jak lis na miejscu i odemnie się oddala. Podchodzę dalej i znowu obrócony do mnie przodem. Widzę w koronie cztery odnogi, więc pewnie to czternastak. Czekam aż się obróci, już widzę jego piękne oczy, już chrapy nawet, stoję złożony ciągle, gdy wtem jeleń jak koń podniósł głowę, rozdął swe nozdrza i głośno chrapnąwszy, wietrzył. Obrócił się cicho na miejscu i zniknął między drzewami Zmartwiony tem niepowodzeniem, wracam ku zrębowi. Franz szedł naprzód i gdy wychodzi z grubego lasu, zaczyna mi dawać ręką znak, że coś stoi przed nim. I rzeczywiście jakiś kolosalny jeleń wyszedł z grubego lasu na łąkę. Był całkiem czarny. Strzał niepewny, nie chciałem więc płoszyć innych jeleni, ryczących obok. Jeleń ten stanął mi jeszcze na 300 kroków, i pokazał się w całym swym majestacie i nie rycząc, poszedł ku dołowi. Zdaje się, że go ruszył Stadnicki, idący granicą. Lecz ten jeleń, to władca jak się zdaje, tej części Girgana, bo gdy on zamilkł i przeszedł nie rycząc, żaden już jeleń się nie odezwał. Ruszyłem więc dalej dołem po nad rzeką. Ale że rzeka szumiała, więc poszedłem nieco wyżej, by się dostać pod tak zwany przez nas kamień. Jestto wąski pas w poprzek części Girgana, który nie jest porosły lasem, lecz pokryty kolosalnymi głazami, po których zupełnie przejść nie można. Tam bowiem ryczał ten, który najgrubszy miał głos, o którym już dawniej wspomniałem. Przybywszy tam, prócz bardzo młodocianego jelonka nic nie słyszałem; postanowiliśmy więc tu odpocząć i zdrzemnąć się trochę, bo od 2-ej w nocy do 10-ej byliśmy na nogach. Położyliśmy się pod jodłą do słońca, aby się trochę ogrzać, tego bowiem ranka jeszcze większy mróz ścisnął, tak że płaje były całkiem zamarznięte. Dopiero o 12-tej otworzyłem oczy. Franz spał snem kamiennym dalej, ja wypocząwszy zacząłem się brać do jedzenia, gdyż od nocy, prócz szklanki herbaty nic w ustach nie miałem. Nie zapomnę nigdy, jak mi smakował kawałek chleba z bryndzą i czekolada i żałowałem tylko, że już się skończył, bo w górach zawsze za mało się bierze ze sobą, a obiad miałem zamówiony za 7-mą godzinę wieczór. Na legumę zjadłem malinowe lody prosto z krzaku i napiłem się kryształowej wody z Prawicza, wody jakiej żadne studnie nie mają i żadne filtry nie wyczyszczą. Zbudziłem Franza i dalej na kamień. Była już pierwsza po południu i wdrapawszy się pod kamień, usłyszałem zaraz tego praszczura jeleni na stoku od strumyka Biało-

krynicy; ryczał potężnym, tubalnym głosem, a dziwnie wolno i długo swą pieśń kończył, widać, że ryczał już kilkanaście lat i ryczenie mu pewną trudność robiło. To też cicho zacząłem go płajem podchodzić. Girgan jest o wiele lepszy do podchodzenia, niż Tarnica, bo mniej wywrotów, a kłody są zbutwiałe, gdyż zrąb już dawno wyrąbany, więc i gałęzi sterczących mało.

Już coraz bliżej jestem jelenia, z odwiedzioną strzelbą, idę, już myślę, że za chwilę go ujrzę za tym gąszczem świerkowym, gdy wtem o nieszczęście, szpiczak głowę wychyla na płaju z gąszczy. Zobaczył mnie, skoczył na bok, a za nim błysła korona o pięciu odnogach, lecz tyle widziałem, bo wszystko znikło w gąszczu i cisza zapanowała straszna, przygnębiająca. O co za dewena! Miałem przed sobą starca szesnastaka najmniej, z którym już łanie nawet nie chciały obcować, który już tylko z dzieckiem chodził! Dlaczego tylko ze spiczakiem chodził, któż to odgadnie? Mojem zdaniem mój jeleń z pod kamienia, jak go nazwałem, był już jednym z tych starców, który już łani nie szukał, a że one stroniły od niego, dla towarzystwa i bezpieczeństwa dobrał sobie to dziecko jeleniego rodu. Ono mu uratowało życie! Chodziłem jeszcze raz na tego jelenia, widziałem go znowu i zawsze był w towarzystwie tego szpiczaka, a nigdy łani nie miał przy sobie. Był to odludek straszny, ale jeleń piękny. Aby dożył roku przyszłego, o nim nie zapomnę nigdy! Lecz czas już wracać. Po drodze widziałem ładnego dwunastaka, schodził z góry Girgana już z łanią, dobrze ryczał, lecz ona nas zwietrzyła i oboje skryli się w gąszczach świerkowych, kryjąc swe miłośne zapały w ciszy leśnej. Na tem się skończył ten dzień podchodu, pełen zawodu, a co gorsze, że trzeba zejść z Girgana i piąć się w nocy po tej strasznie kamienistej drodze, krętej, jak śruba bez końca, prawie pionowo, nie zabiwszy nic, to wcale nie wesołe zakończenie dnia dzisiejszego. Lecz cóż, wracać trzeba, a jeść mi się chce okrutnie. U stóp tej strasznej śruby spotykam Stadnickiego, który mając oprócz Wernera człowieka, kazał sobie przynieść jedzenie i postanowił u stóp Girgana na łące Mszance, w prowizorycznej kolibie t. z., à la belle étoile przenocować, gdyż widział wiele i słyszał jeszcze więcej. Twardy człowiek, ja wolę iść jeszcze kilka godzin i dojść może o 8-mej do ciepłego jedzenia i mego futerka, pod którem się prześpię. Ale Stadnicki to człowiek nie naszych czasów, on wszystko wytrzyma i noc pod gołem niebem u stóp Girganu, przy sześciu stopniach mrozu!

(D. n.).

Aleksander hr. Wodzicki.



Korespondencye.

Z Antonin.

Na Wołyniu stosunki myśliwskie nie wesołe, a i kraj ten tak piękny zresztą i bogaty, nie odznacza się wielką ilością zwierzyny; tylko wielkie nakłady i starania mogą przy niezmiernej zapobiegliwości i pilności doprowadzić do pomyślnych wyników.

Zdumiewającymi są rezultaty, do jakich doszedł w hodowli bażantów, hr. Józef Potocki w Antoninach.

Bażantarnia w lesie 180-morgowym, okolona drucianą siatką, urządzona i prowadzona znakomicie, posiada dziś wszystkie warunki dla trudnego chowu tych kapryśnych ptaków: niektóre części lasu rozmyślnie ogołocone ze starodrzewia, zakulturowane zostały gęstymi zagajnikami — w innych zaprowadzono plantacye najrozmaitszych zbóż, traw i jarzyn w takim stopniu, że bażantowi na myśl nie przyjdzie wylecieć na sąsiednie pola, poza ogrodzenie, w swej bowiem rezydencyi posiada wszystko, o czem tylko zamarzyć może. Szkodniki wyłapywane już z chwilą ich zbliżania się do tej bogatej kolonii: tego bowiem lata n. p. w łapki, w drodze do ogrodzenia, schwytano 37 lisów; jastrzębie i inne o zakrzywionym dzióbie drapieżniki, ledwie się pokażą, już utkną na jakimś przedziwnie zbudowanym samotrzasku, lub nastawionych żelazach — a najlepiej nam to na przykładzie wykazał jakiś pomysłowy gołębiarz (astur polumbarius), który się złapał w żelaza, właśnie podczas polowania.

Tej wiosny około 700 kur przygotowywało się do pory lęgowej, nadto sprowadzono 2.000 jaj z Anglii, dla odświeżenia gatunku bażantów krajowych.

Najpożądańszą rzeczą, oczywiście, by kura, jak każe przyroda, wysiadywała jaja na dziko — nie ufają jej jednak zbytnio, a podbierając 3 lub 4 jaja, pozostawiają łatwiejsze zadanie, wychowania mniej licznej drużyny piskląt. W wysiadywaniu podebranych i sprowadzonych jaj trzymano się systemu klatkowego: odpowiednia ilość indyczek, kur (t. z. murzynek, cieszących się wybitnemi zdolnościami wychowania obcych kuraków) — po wylęgnięciu się piskląt, zamknięta w klatkach, zawsze ma na oku swój przychowek, cieszący się wolnością około klatki; klatki takie przenoszą się często z miejsca na miejsce, dla uniknięcia zarazy, mogącej być spowodowanej wytwarzaniem się bakteryi, czyhających zawsze na młodociane ptaki. W miarę podrastania, bażanty coraz śmielej od troskliwej oddalając się bony, wreszcie o swej opiekunce zapominają, dziczejąc zupełnie.

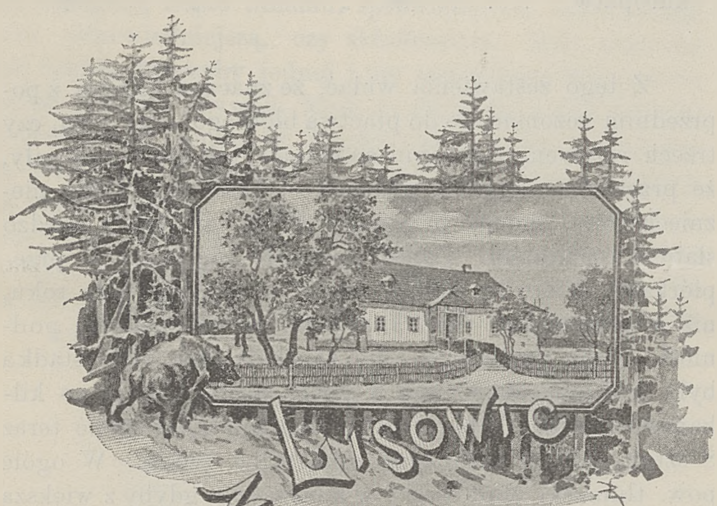
W tym roku, tak obfitującym w deszcze, nie powiódł się lęg na dziko — gdyż bardzo wiele gniazd woda zatopiła, a przecież osiągnięto zdumiewający wynik ubicia w dwóch dniach, po wzięciu 28 małych miotków, 863 bażantów, przeważnie kogutów, wyjątkowo bowiem tylko pozwolono do kur strzelać. Uczestnicy tej bażanciej biesiady, w skromnej liczbie sześciu: Tadeusz Dachowski, generał Br. Stempel, Juliusz hr. Tarnowski, właściciel, Antoni Kazimierz hr. Wodzicki i pełnomocnik dóbr p. Śliwiński, często nie mogli nastarczyć, chociaż w dwie strzelby zbrojni, w strzelaniu

do śmiało się zrywających i bardzo lotnych ptaków; dodać należy, że nie strzelano świetnie, do tego rodzaju bowiem polowania trzeba wielkiej wprawy, zanim się zasłuży na miano „szybkostrzelca“ europejskiej sławy.

W bażantarni króliki puszczone przed 3 laty, rozmnożyły się w zadziwiający, ale niepożądany sposób — psują bowiem niemiłosiernie ten piękny lasek, podminowawszy go norami, w całej rozciągłości; wydano na nie wyrok tępienia bez litości, nie tak to łatwo jednak uparte to zwierzątko wyplenić; padło ich przecież w dwóch dniach 63, przy nieznacznem zwracaniu na nie uwagi, potrzebnej przy strzelaniu do ptaków. Wten sposób zbliżyliśmy się bardzo w dwóch dniach do tysiąca bez mała zabitych sztuk -- a to już chyba tylko królewskie, przypomina zabawy myśliwskie, tak rzadko dla zwykłych dostępne śmiertelników.

Ogółem tedy na dwudniowem polowaniu w rewirze Wolica, w dniach 3-go i 4-go listopada 1902, w 6 strzelb, ubito: bażantów 863, rogacza 1, królików 63, słonkę 1, sów 2. — Razem 930 sztuk.

A. K. W.



Rok myśliwski, jak nasz bieżący, nie może się odznaczyć, w swym jesiennym okresie, w obec braku słonek, wynikiem bogatym. Bez zdziwienia jednak, musieliśmy stwierdzić brak tych pożądanych długodzióbych ptaków na ciągu jesiennym — rok ten bowiem, w całej swej rozciągłości okazał się nienormalnym i mógł odstraszyć ptaki, względnie poprowadzić je innymi szlakami. W niektórych jednak okolicach miały się słonki pojawić bardzo wcześnie, t. j. w ostatnim tygodniu września — być tedy może, że pierwszy mróz, już w dniu 23-go września się srożący, ptaki do wczesnej zmusił ucieczki, dość, że październik już nigdzie obfitego ciągu nie wykazał, a w podgórskich Lisowicach, tylko gdzieniegdzie spotykano poszczególne słonki, nie dające się zaliczyć do prawdziwego ciągu. Smutno tedy wypadnie statystyka ubitych na jesiennem polowaniu 21 słonek, gdy na myśl przychodzą poprzednie lata o 133 i 127 zabitych, w tej samej ilości dni polowania.

Gdy dalej, dziki gdzieś wywędrowały, a nad sarnami wisi klęska motylicy, poważna zachodziła obawa, o rozkład tegorocznego polowania jesiennego. Lisowicka knieja jednak, zawsze czemś wynagrodzi zawody łowieckie i oto pocieszyła nas tak znaczną ilością lisów, że mogliśmy o innych niepowodzeniach zapomnieć, ponieważ ubicie 54, w 9 dniach, zasługuje na osobną w kronikach myśliwskich wzmiankę.

Pocieszającym zawsze jest rozrost jeleni: Lisowice z radością przyjmują je w swych rewirach, a zabicie trzech na tegorocznem rykowisku, otuchą napełnia łaknących spotkania z pięknym zwierzem, iż z biegiem lat, oprócz dotychczasowych polowań z nagonką i rykowisko stanie się tu nieposlednią kniei ozdobą.

Jeden z ubitych jeleni osobnego godzien wspomnienia; jestto ciekawy okaz wstecznika: rogi bardzo grube, czarne i ślicznie operlone, w końcach na 20 cm. zbliżone, jedeń pień o 3 gałęziach, drugi o 4, w tem nadoczna, z lewej róży wyrasta narość rogowa, 10 cm. długa, a 6 cm. gruba. Wieniec ten może być zaliczonym do najciekawszych okazów rogów, stanowiąc pierwszorzędną ozdobę każdego zbioru.

Wynik 9-dniowego polowania jesiennego, w dniach od 15-go do 24-go października, przedstawia się jak następuje:

Dzików 3, rogaczy 6, kuna 1, lisów 54, zajęcy 66, jarząbków 20, słonek 21, sów uralskich 8, jastrzębi 3. Razem 182 sztuk na 341 strzałów.

A. K. W.



B a t i a t y c z e, 18. listopada 1902.

Podając niniejszy opis polowania z sokołami na kuropatwy myślę, że wielu sposób ten jest zupełnie nieznanym, a podpisanemu tylko z obrazków z minionych dawno czasów.

Podpułkownik, Br. Dondorf, stacyonowany w Kamionce Strumiłowej, dostał od księcia Odescalchi z Węgier, dwa sokoły, specyalnie ułożone na kuropatwy — otóż dnia 14-go w kilkanaście koni, z ułanem, jako sokolnikiem wyjechaliśmy na pola, by wynaleść kuropatwy. Sokolnik niósł zakapturzone z pioropuszami czerwonymi, na ramie wybitej suknem, sokoliki. Gdy się kuropatwy porwały, patrzyliśmy, gdzie zapadną. Pułkownik natychmiast wziął jednego z sokołów na skórzaną rękawicę — mimo zdjętego kapturka sokół siedział spokojny — i całym pędem koni ruszyliśmy ku kuropatwom. Gdy się porwały, sokół na wołanie „halo“, wzbił się w górę — i puścił się za niemi. Raptem jak kula, uderzył, i uchwycił jednę — odlatując z nią nieco na bok. Wabiony głosem — i gołębiem białym na długim sznurku, pozwolił przyjść do siebie — i włożyć napowrót kapturek. Próba z drugim sokołem nie udała się — wprawdzie wzbił się za kuropatwami, lecz następnie zrobiwszy kilkanaście kół w powietrzu nie dał się schwytać, pomimo naszych, możebnie słodkich nawoływań — odleciał z dzwoneczkiem u nogi — zdaje się z powrotem do ojczyzny — i po dziś dzień, pomimo poszukiwań i różnych z naszej strony sposobów, nie wrócił. Zabawka ta byłaby może więcej interesującą, gdyby pomiędzy zwierzyną, a sokołem wywiązała się walka w powietrzu, jak to kiedyś przy polowaniach na czaple się odbywało — z kuropatwami jakoś nie ma to

uroku, a zbiera chętka posłać mu ładunek śrótu, przypomina to bowiem, jak to nasze jastrzębie nieraz w oczach naszych chwytają kuropatwy. Można to chyba uważać jako sport tylko.

Daleko lepiej bawiliśmy się na małem polowanku w Dolniczu, u p. Markowskiego, gdzie polowaliśmy w sześć strzelb. Dnia drugiego, w którym wzięły udział, pomimo mrozu, nadobna córka gospodarza — i warszawianka panna S. — wzięliśmy kilka miotów — i w trzech godzinach padło kilka zajęcy i rogacz. Przelatywały także bażanty, które oszczędzaliśmy, by się rozmnożyły; nikt nie chybił, bo wobec pań, tak uroczych, każdy chciał być królem — a wieczornica przy obiadku i szklaneczce i miłej pogadance minęła jak piękny sen. Czy on wróci jeszcze, to pytanie stawiamy nadobnej gospodyni do rozwiązania.

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.



Bursztyn, 21. listopada 1902.

Jako towarzysz z pod sztandaru św. Huberta, pospieszam z wiadomością do naszego organu, iż 13-go b. m. w dobrach ks. Jabłonowskiego w Bursztynie, w rewirze Junaszkowie, odbyło się polowanie w sześć strzelb. Zabito 22 zajęcy, 1 słonkę, 1 kunę leśną. Jako „curiosum“ uważam fakt obecności słonek, o tak spóźnionej porze; oprócz bowiem zabitej słonki, widzieliśmy jeszcze dwie.

O rezultacie projektowanych w tym roku jeszcze polowań również doniosę.

Konstanty hr. Romer.

Trojan — Zielona, w listopadzie 1902.

Wszyscy prawie uskarżają się, że nie dopisały ciągi kszyków i dubeltów. Nie inaczej jest i w tych stronach.

Pamiętam za mych studenckich czasów, a nie tak dawno temu, gdym z mymi rówieśnikami R. i P. P. przyjechał na ferye do Czarnołoziec, w krótkim czasie, w sąsiednich miastach i miasteczkach, zabrakło prochu i śrótu! tyle go we trójkę wypotrzebowaliśmy. Czy w stosunku wystrzelanych naboi przynosiliśmy zwierzynę, tego nie powiem, ale wtedy ptactwa błotnego i wodnego było bardzo wiele. Czasem, któryś ze starszych myśliwych przyłączył się do nas — i w przeciągu 2 do 3 godzin był obładowanym kiludziesięcioma kszykami i dubeltami, i kaczka też znalazła się u trok. My młodzi z zachwytem patrzyliśmy na te objuczone troki, gdy nasze po kilka sztuk miały, a nie miejszą ilość strzałów oddaliśmy. Nadmieniam, że błota czarnołozieckie i słobodeckie, na których polowaliśmy, nie były tak obszernemi i wybitnemi — cóż dopiero za ilość ptactwa musiała być na błotach kilkusetmorgowych! Minione to czasy — dziś mniej błot, mniej i ptactwa. Rażąca różnica, między poprzednim a bieżącym sezonem polowań błotnych, spowodowała jednogłośne żale w łamach „*Łowca*“. Nie posiadając u siebie znaczniejszych błot, tylko małe jeziorka i moczarki, przecie w poprzednim sezonie, nie poluję nigdy umyślnie tylko przygodnie — gdy jadąc pomimo tych jeziorek, zlazłem z wózka, pies przy nodze — „poszukaj“, i kilka kszyków, dubelt i kaczka często się znalazły. Tego roku, jak to mówią, jak wymiótł! W zestawieniu z przeszłym rokiem wykaz ubitej zwierzyny tak się przedstawia:

kaczek krzyżówek	10	sztuk, w przeszłym r.	23
„ cyranek	4	„ „	17
kszyków . . .	22	„ „	71
dubeltów . . .	—	„ „	9
chruścieli . . .	13	„ „	22
przepiórek . .	214	„ „	48
kulonów stepowych	—	„ „	2
kuropatw . . .	8	„ „	1

Z tego zestawienia widać, że znaczna różnica z poprzednim sezonem, co do ptactwa błotnego — po dwu, czy trzech razowem polowaniu na błotach, tak mię zniechęciły, że przestałem zupełnie polować — brat mój tylko niezniechęcony, chodził prawie co dzień, ale też z bardzo słabym rezultatem. Lepiej powiodło się bratu z przepiórkami, które tę okolicę więcej nawiedziły tego roku, niż w przeszłym. Stan kuropatw też znacznie się podniósł — gdy przeszłego roku zaledwie dwa małe stadka były widziane, dziś mam u siebie siedm, każde po kilkanaście sztuk, dlatego też pozwoliłem sobie zabić teraz 8 sztuk, gdy w przeszłym roku tylko jedną. W ogóle pow. tłumacki obfitowałby w kuropatwy, gdyby z większą troskliwością niemi się opiekować — przedewszystkiem lisy trzeba wytępić, których jest tu ogromna ilość, włóczące się psy, niemniej bociany i przedewszystkiem niepowołanych amatorów. Np. spotkawszy kilka dni temu rządcę z sąsiedniego folwarku, pytam się, czy są kuropatwy u nich — i czy zabili i wiele, odpowiada mi że „my w lecie nie strzelamy, dopiero na śniegu, jak podjedzie się sankami, można kilka na jeden strzał zabić i całe stadko wybić“. Wierzę mu! a trzeba było minę pana rządcy widzieć, gdy to mówił, jakby miał jakiś czyn bohaterski spełnić i zapewnia mię, że tak co rok robi! Takich kilku panów, lisów, psów i bocianów a mogą wytępić najładniejszy stan zwierzyny. Że pow. tłumacki mógłby mieć piękny stan kuropatw, najlepszym dowodem pp. Mel. w Horyhladach i Kor. w Hryniowcach, gdzie ma być bardzo wiele, tam strzela się do kuropatw, tak jak gdzieindziej do przepiórek, albo i więcej. Aby to mieć u siebie, trzaba tylko dwóch, trzech lat pieczołowitości, a pewnie będzie w bród kuropatw.

W ogóle powiat tłumacki ofituje w różnorodną zwierzynę, i tylko trochę dobrych chęci, a mógłby rywalizować z polowaniami w polu, z Czechami, a w lasach do najpiękniejszych policzonym by został, chociaż i dziś jest kilka bardzo pięknych kniei jak: kłubowiecka, pałahicka, hryniowiecka, gdzie w jednym dniu pada pod

strzałami kilkadziesiąt zajęcy, kilkanaście rogaczy, nierzadko dzik i lis.

Wielu jest w powiecie naszym myśliwych, ale bardzo mało tych, którzyby rzeczywiście zajęli się pielęgnowaniem zwierzyny, a niszczeniem szkodników. Panowie delegaci powinni więc więcej dbać o rozwój zamiłowania do pielęgnowania zwierzyny, nie ograniczać swego obowiązku delegackiego, do zdawania relacyi, co gdzie zabito na polowaniu zimowem!

Bardzo piękny przykład dał p. delegat borszczowski w swym okręgu — czemużby inni nie mieli wstąpić w te ślady? Tu w naszym powiecie sądzę, że powinien się ten piękny przykład z łatwością przyjąć, gdyż młodzieży i myśliwych nie brak — brak tylko inicyatywy, a ta powinna wyjść od pp. delegatów, do nich się też zwracam.

Wielu z towarzyszów św. Huberta opisuje i radzi, jakiej broni używać, jakiego kal. śrótówek, jakiego ekspresa, czy wogóle nie przejść na broń małokalibrową, na manlichera, jakich ładunków używać, słabych czy silnych i t. d. Wszyscy jednak (może się mylę) strzelą kilkadziesiąt razy z jednej broni i zawieszają ją na kołku, lub odstępują komu innemu, sprowadziwszy sobie drugą broń odpowiedniejszą, czy składniejszą. Mało zapewne jest takich, którzyby jednej i tej samej broni kilkanaście lat bez przerwy używali. Mam tu na myśli trojak fabryki J. Novotnego (senior) w Pradze, którym się posługiwał śp. Grzegorz Głuchowski w Kamiennej, znany myśliwy na całem Pokuciu i dalej, od roku 1887 do 1902 t. j. przez lat 17. Jestem w szczęśliwem posiadaniu, licznych zapisków śp. Głuchowskiego, odnoszących się do zabitej zwierzyny przez lat dziesięć tj. od r. 87 do 98.

Oto spis:

Zajęcy	915	sztuk
lisów	168	„
kozłów	353	„
dzików	41	„
żbik	1	„
rysiów	4	„
kun	1	„
wydr	1	„
borsuków	45	„
przepiórek	2212	„
kuropatw	322	„
chruścieli	269	„
kaczek	64	„
kszyków	72	„
kulików	25	„
słonek	249	„
cietrzewi	120	„
gęsi	7	„
kulonów	1	„
dubeltów	17	„
batalionów	4	„
czapli	39	„
mew	1	„
sów uralskich . . .	26	„
sępów	3	„
jastrzębi	191	„
orłów przednich . .	3	„
drobnej zwierzyny .	18	„
Razem więc	5172	sztuk

Przypuszczam, że od r. 98 zabił śp. Głuchowski, tylko połowę podanej zwierzyny, uczyni to około 8000 sztuk. Na tę ilość, licząc, że nadzwyczaj celnie strzelał, oddał 10.000 strzałów, a 2.000 liczę bardzo skromnie oddanych do tarcz, szkodników i t. p., uczyni razem 12.000 strzałów, które jedna i ta sama strzelba wytrzymała! Nadmieniam, że śp. Głuchowski używał bardzo silnych naboi. Dziś trojak tak samo celnie bije, jak przed laty i wygląda, jakby dopiero wyszedł z fabryki. Czy dziś potrafią, a może czy zechcą zrobić taki trojak, któryby wytrzymał taką ilość strzałów, p. rusznikarze, a chociażby p. J. Novotny junior? Wątpię.

Wracam jeszcze do stanu zwierzyny w tej okolicy. Zajęcy jest bardzo dużo — przejść się godzinę po polach, a spotka się kilka, a np. kosząc żniwiarką koniczynę nasienną, z łanu 12 morg. spędzono 14. Lisów jest stosunkowo jeszcze więcej, niż w przeszłym roku, gdyż zima była dla nich bardzo sprzyjająca, ani z chartami, ani z powłoką nie można było polować, może św. Hubert będzie łaskawszy na nas tej zimy i pozwoli ród lisi wytępić. Sarn musi być też dużo, gdyż na tutejszych polach, oddalonych od najbliższego lasu $1\frac{1}{2}$ do 2 mil, widziano przez całe lato kilka sztuk i trzymały się tak długo, aż zebrano kukurudzę i kartofle, gdzie najchętniej przebywały. *W. S.*

Kalendarz łowiecki.



Wolno strzelać do wszystkiego z wyjątkiem jeleni i kuropatw.

Donoszą zewsząd, że stan zajęcy znakomity.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

„SARNIE SKÓRY“ kupuje każdej ilości, H. WIERZYCKI, Tarnów, ul. Klikowska 10.

Zarząd dóbr Ossowce poszukuje puhacza zdatnego do polowania — poczta w miejscu.

POSZUKUJĘ PSÓW ułożonych tylko na dzika. Zgłoszenia Administracya Łowca.

SZCZENIĘTA RASY BLACK UND TAN GORDON-SETTER, czarne rdzawo podpalane ur. 15-go października 1902 po premiowanych i doskonałych w polu rodzicach (Field Trial). MATKA BLUE — BELL OF RADCLIFFE Oe. H. S. B. 3778. pięć I. nagród i nagroda honorowa w klasie zwycięzców; ojciec SWIT OF DEINHAM Oe. H. S. B. B. XX., dwa najwyższe odznaczenia pochwalne — do sprzedania. Szczenięta te posiadają rodowód (Pedigree) z 54 przodków zapisanych w Oe. H. S. B., D. H. S. B. i K. C. S. B. — Wiadomości udzieli Zarząd „Kennel My Darling“ Stanisław Kowalski, Kraków, Pańska 10.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**